

# Mieczysław Jarosz

---

## Sylwetki wybitnych obrońców warszawskich w okresie międzywojennym (c.d.)

---

Palestra 2/1(5), 15-24

---

1958

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MIECZYŚLAW JAROSZ

adwokat

---

## Sylwetki wybitnych obrońców warszawskich w okresie międzywojennym\*

(c.d.)

Teodor Duracz. Jan Dąbrowski w „Szopce Adwokackiej“, napisanej przed wielu laty, tak go scharakteryzował: „Duracz, Duracz — wcale dobry z niego proceduracz!“ I miał rację! Duracz świetnie znał procedurę karną i korzystając z niej, w lot chwycił każde uchybienie procesowe, przygwałdził je, a następnie za pomocą przekonujących argumentów, wypowiedzianych z dużą mocą słowa, uzyskiwał naprawę błędów. Sędziowie dobrze znali go z tej strony i z uwagą słuchali jego wywodów. Prokuratorzy niechętnie wdawali się w polemikę, w której był niebezpiecznym przeciwnikiem.

Duracz pozornie sprawiał wrażenie obrońcy bez temperamentu, operującego tylko interpretacją prawa i powszednią analizą materiału dowodowego. W rzeczywistości było inaczej. Bronił z głęboką wiarą w słuszność własnych argumentów, przejmował się losem człowieka, którego bronił, zapalał się i umiał ze słowa żywego wydobyć całą siłę ekspresji. Od czasu do czasu godził w przeciwnika ironią, dowcipem. Niekiedy dla podkreślenia wagi swych argumentów przytaczał fragmenty, cytaty z utworów Mickiewicza czy Słowackiego, bardzo umiejętnie dobrane!

Podobnie jak w polemice, tak samo w ustalaniu faktów był poważnym przeciwnikiem. Za pomocą zdecydowanych, prostych a jasnych

---

\* Pierwszą część fragmentu pamiętnika Autora opublikowano w nrze 3 „Palestry“ z 1957 r.

pytań demaskował kłamstwa świadków-konfidentów, obalał ich rzekome postrzeżenia i obserwacje, obnażał ignorancję i rozbijał wszystkie te „dowody“. Zнали go dobrze konfidenti, agenci i różni świadkowie „na ochotnika“ i bali się jego pytań.

Obrony w sprawach, w których występował, nie były dlań tylko walką z oskarżeniem formalnym, nie były wyłącznie dążeniem do uzyskania wyroku uniewinniającego. Obrony Duracza były równocześnie wielką batalią toczoną na marginesie rozpraw sądowych z rzeczywistością społeczną i polityczną, którą zdecydowanie oskarżał i zwalczał. Czyniąc to, zręcznie wymykał się z sieci nastawionej uwagi przewodniczącego sądu i zamierzeń prokuratora i szybko przechodził do nowej argumentacji, aby wkrótce powrócić do zasadniczej walnej rozprawy.

Nie było w Polsce większego procesu politycznego o podłożu komunistycznym, w którym by Duracz nie występował w roli obrońcy. Z czasem zaczęto go nazywać „dowodem rzeczowym“ w sprawie pod sądnych oskarżonych o działalność komunistyczną. Duracz nie przejmował się tą opinią. Dobrał sobie grono kolegów-i korzystał z ich pomocy. Bronili razem z nim Karol Winawer, M. Rudziński, Jan Dąbrowski, Edward Grabowski, Ludwik Honigwill, Helena Wiewiórska, Konopka. Ze starszą generacją obrońców politycznych łączyły go serdeczne węzły uprzejmości koleżeńskiej. W chwilach znużenia pracą chwycił tom poezji Mickiewicza lub Słowackiego i czytał, czytał, znajdując w lekturze wytchnienie. Stąd właśnie pochodziła owa doskonała znajomość dzieł naszych wielkich poetów romantycznych, z których czerpał cytaty do swych przemówień obrończych.

Wacław Brokman interesował się również zagadnieniami z dziedziny prawa cywilnego. Praktykę karną miał bardzo poważną. Występował w dużych sprawach karnych, wymagających nakładu pracy i znajomości przedmiotu. Miał dar jasnego przedstawiania najbardziej skomplikowanych sytuacji, umiał zagadnienie zawile sprowadzić do prostego mianownika. Argumenty grupował bardzo umiejętnie, tak aby nie przesłaniały głównego z nich, lecz wzmacniały i podkreślały jego nieodpartą rację. Tym właśnie różnił się od Kazimierza Sterlinga. Posługiwał się umiejętnie żywym słowem, unikał jednak emocjonalnych wzruszeń. Przemawiał do rozsądku, spokojnie, przekonywająco.

Pamiętam m.i. jego obronę w głośnym procesie braci Kochanowiczów, oskarżonych o podpalenie zakładu zastawniczego w celach zysku. Bronił razem z Leonem Świeszewskim. Przemówienie, jakie wówczas wygłosił, było wzorem doskonale przemyślanej i opracowanej pod każdym względem obrony!

W młodości podobnie jak Sterling przeszedł ciężkie chwile. Z powodu denuncjacji jakiegoś prowokatora został wykluczony z grona adwokatów i dopiero w r. 1917 odzyskał z powrotem prawa obrońcy. Od tego czasu należał do czołowej grupy obrońców warszawskich.

Gruntownie wykształcony prawnik, sumienny, zdolny obrońca — miał zawsze dość czasu na przeczytanie nowości z literatury pięknej zarówno polskiej, jak i obcej. Wielbiciel polskiego malarstwa, gromadził dzieła sztuki. Mieszkanie jego przy Mazowieckiej wyglądało jak muzeum. Na ścianach wisiały obrazy najlepszych polskich mistrzów pędzla. Koleżeński, uprzejmy, uczynny a przy tym skromny, o pogodnym równym usposobieniu — cieszył się dużym autorytetem wśród kolegów. Wielokrotnie był wybierany do Rady Adwokackiej. Zginął tragicznie z rąk hitlerowców, omal pod sam koniec okupacji.

Stanisław Szurlej pozostawił po sobie miłe wspomnienie. Doskonałej prezencji, pogodnego usposobienia, dowcipny, uprzejmy, koleżeński — cieszył się dużym uznaniem kolegów i zasłużonym powodzeniem. W szeregi palestry warszawskiej wstąpił w r. 1919 i wkrótce znalazł się w grupie najwybitniejszych obrońców. Doskonały mówca, umiał trzymać w napięciu uwagę sali sądowej, rozwijając argumenty oparte na starannej analizie materiału dowodowego. Od czasu do czasu rzucał jakby od niechcienia dowcip lub cytaty świetnie dobrane i od razu uwalniał słuchaczy od znużenia. W przemówieniu przechodził od *forte* do *piano*, potem znów sięgał wyżej nastroju, wzruszał i prowadził audytorium śladem swych myśli, dowodzeń, wniosków!

Przemówienia jego toczyły się wartkim strumieniem, potoczyście. Wygłaszał je łatwo, gładko, bez znużenia. Czasem sprawiały wrażenie recytacji świetnie wygłoszonej, doskonale opracowanej pod każdym względem, ale już po chwili jakiś cytat świeżo z zeznań świadka wyrwany, jakiś fragment bezpośrednio z przewodu sądowego przytoczony zdawał się przeczyć pierwszemu wrażeniu i nakazywał wierzyć w bezpośredniość tworzywa. I na tym polegała sztuka wymowy Szurleja.

W głośnym, trwającym dwa miesiące procesie o rozruchy w Krakowie w r. 1923 wystąpił w roli oskarżyciela w imieniu poszkodowanych przeciwko licznej obsadzie dobrych obrońców z Krakowa, Warszawy i Zamościa. Oparł wówczas oskarżenie na dokładnej analizie faktów. Po przemówieniach obrońców poniósł go temperament bojowy i wygłosił replikę. Nie wiem, czy ją przedtem opracował. Wątpię w to stanowczo. Replika stała znacznie wyżej pod względem formy i treści od pierwszego przemówienia.

W procesie więźniów brzeskich bronił sam Wincentego Witosa. Z nieślabnącą energią rzucał setki pytań świadkom, obnażał perfidię, zakłamanie i głupotę. Dochodziło na tym tle do spięć z sądem i prokuratorem Grabowskim, lecz Szurlej trwał mocno na swym bojowym stanowisku. Wygłosił wówczas doskonałą obronę. Wydawnictwa poświęcone procesowi więźniów brzeskich zawierają drobne zaledwie fragmenty i nie dają pojęcia o istocie procesu, walce obrońców i wartości ich przemówień.

Oto jak dowcipnie, złośliwie a zarazem dosadnie scharakteryzował Szurlej terror w dobie sanacji: „Terror — słowo straszne. Ale straszniejsze jeszcze wykonanie. Bić — trzy litery. Ale czy panowie sędziowie temu słowu choć raz zajrzeli naprawdę w oczy? Od terroru straszniejsza jest — dynamika terroru. Straszne jest to, że kiedy biją drugiego, mogą i pobić tego, kto się z tego cieszy. Moraczewski, Burda — cieszyli się, że więźniów bito w jakimś więzieniu, a jakieś książątko powiedziało: «Brześć, tak, ja boleję nad tym, ale to była dziejowa konieczność». Jaka dziejowa konieczność, pytam, złączyła na jednym poziomie moralnym tego księcia z Moraczewskim i Burdą?”

Szurlej — podobnie jak Śmiarowski, Szumański i Niedzielski — występował w sądach całej Polski. Znały go i Lwów, i Wilno, Kraków i Łuck, Poznań i Lublin, Toruń i Białystok, Katowice i Mława. A propos Mławy! Przed wielu laty toczył się w tym miasteczku proces o sfalszowanie testamentu obywatela ziemskiego Jaroszyńskiego. Szurlej występował w roli powoda cywilnego. M. Ettinger, ja i dwóch kolegów, których nazwisk nie pomnę, broniliśmy podsądnych. W roli biegłych zjawili się profesorowie U.J. Wachholz i Olbrycht. Rozprawa ciągnęła się przez kilka dni i stała się niebywałą atrakcją nie tylko dla mieszkańców Mławy, ale i dla okolicznych ziemian.

Szurlej dysponował, jak już wspomniałem, doskonałą postawą, wymowną mimiką, dobrą dykcją, świetną modulacją głosu. Podobnie jak Śmiarowski umiał dla każdej sprawy, w której bronił, znaleźć odpowiedni wyraz w swym przemówieniu. Posługiwał się umiejętnie gestykulacją rąk, wiedział dobrze o wskazaniach Kwintyliana, że mowa pozbawiona gestykulacji jest jakby okaleczona, nieudolna.

Szurlej porzucił Warszawę bezpośrednio po wybuchu wojny we wrześniu 1939 r. i osiadł później w Londynie. Ma dom, hoduje róże. „Adwokat i róże“ — Szaniawski Ci się kłania, Stasiu!

Franciszek Paschalski mów swoich nie rzeźbił, lecz dokładnie je w myślach opracowywał, starając się nade wszystko o piękną

formę. Zwolennik przenośni, metafor, bogatej ornamentyki słowa — wpadał bardzo często w patos. I wówczas argumenty ginęły, niejako rozplywały się w bogactwie słów i przepychu figur retorycznych, nie docierały z należytą siłą do świadomości sędziów. Niemcy ten rodzaj wysłowienia nazywają *Schwulst-und Bombast-Patos*. Paschalski hołdował temu rodzajowi krasomówstwa, czuł się doskonale w wypełnionej sali sądowej, roztaczając przed słuchaczami przepych żywego słowa.

Czasem, ale dość rzadko, odstępował od swego zamiłowania. W sprawie Eligiusza Niewiadomskiego, oskarżonego o zabójstwo prezydenta Narutowicza, wystąpił w imieniu rodziny zamordowanego jako powód cywilny. I wówczas — niewątpliwie pod wpływem atmosfery panującej w sali sądowej i grozy samej zbrodni — przemawiał spokojnie, odrzucił patos i barok wysłowienia i wywarł silne wrażenie, osiągnął wielki sukces.

Po zamachu majowym wycofał się właściwie z sali sądowej, coraz rzadziej zjawiał się w roli obrońcy. Bronił z nim w kilku sprawach, m. i. broniliśmy adwokata Zygmunta Hofmokla-Ostrowskiego w r. 1924, oskarżonego o usiłowane zabójstwo świadka na sali w czasie rozprawy sądowej.

Po wybuchu wojny wyjechał za granicę. Zmarł w kilka miesięcy później w Nicei.

Marian Niedzielski, „kochaś“, jak go stale nazywał Szurlej. Istotnie, natura umiłowała go, obdarowała hojnie. Dała mu znakomitą prezencję, postawę, głowę rzymskiego senatora, bystre, inteligentne oczy, pogodę rozlana na twarzy i wyposażyła w metaliczny głos o głębokiej emisji. A nadto nie poskąpiła doskonałej pamięci. Nie wiem, czy pisał swoje obrony, wątpię w to, szkicował je w ogólniejszych zarysach. Zwrócony w stronę sędziów wygłaszał przemówienie w zdaniach poprawnie zbudowanych, w które przelewał rzeczowość argumentacji. Dość często sięgał do emocjonalnych czynników i wtedy, sam poruszony, wywoływał nastrój na sali. A głos jego brzmiał wówczas wspaniale.

Analizując materiał dowodowy, poddawał go wnikliwej krytyce, ujawniał sprzeczności, powoływał się przy tym, bez zaglądanego do zapisów, na karty śledztwa (znane jego: „folio“ itd.), a często, w miarę potrzeby, cytował całe zdania z pamięci, bezbłądnie.

Payen powiada: „Dobra obrona musi być zbudowana wedle dokładnego planu, musi posiadać siłę w rozwinięciu tematu, odznaczać się poprawnością i wybrednością stylu, mówcę cechować musi subtelna modulacja głosu i czystość dykcji“.

Przemówienia Niedzielskiego odpowiadały tym wymaganiom z małym tylko zastrzeżeniem co do subtelności modulacji głosu. Miał potężną emisję głosu i nie zawsze mógł czy chciał zapanować nad zbyt donośną tonacją. Pamiętam wiele jego przemówień, broniliśmy dość często razem. W procesie inż. Kozaka, oskarżonego o zabójstwo księcia gruzińskiego Kuradzego, wygłosił bardzo ciekawe pod każdym względem przemówienie. Broniliśmy wówczas razem podsądnego, który pod wpływem nurtującej go zazdrości sięgnął po broń i zabił. Raz tak się nawet złożyło, że powierzył mi swoją własną obronę w przykłej sprawie o zniesławienie. Przeciwnikiem moim w roli obrońcy był wówczas mój były „klient”, adwokat Hofmokl-Ostrowski.

Z czasem wspaniały głos wskutek potęgującej się astmy tracił metaliczny dźwięk, emisja słabła, rwała się. I tym należy tłumaczyć sobie gwałtowne nieraz podnoszenie głosu lub nagłe opuszczanie go do tonów niskich, a nawet szeptu. Bronił omal do ostatnich chwil swego życia. Zmarł z końcem 1953 r.

Znałem kolegów, którzy naszkicowane (w myślach) przemówienia w ogólnych zarysach odkładali do ostatniej chwili. Oczywiście nie zawsze można nakreślić z góry obraz przemówienia, zgrupować argumenty i odpowiednio je ustawić. Często przewód sądowy daje odmienne wyniki, komplikuje całe zagadnienie lub obala zebrany w śledztwie materiał. Wtedy obrońca staje niejako wobec nowego zagadnienia. Trzeba improwizować! Ale tylko do pewnego stopnia. Obrońca ma zawsze możliwość w podobnej sytuacji, w chwilach przerwy w rozprawie, skupić myśli, zanalizować materiał, rozważyć argumenty i odpowiednio je ustawić, kładąc nacisk na zakończenie przemówienia.

W podobnych sytuacjach Śmiarowski, uśmiechnięty, spacerował w towarzystwie kolegów i nie słuchając ich opowiadań, obmyślał przemówienie. Paschalski zaszywał się w odległym kącie i tam, nie wyjmując z ust papierosa, chodził nerwowym krokiem i myślał; podobnie postępował Niedzielski. Berenson siedział na ławie obrońców lub w bufecie sądowym, stukał palcami po stole i wpatrzony przed siebie, snuł przedzę przyszłych rozważań. Szumański chodził zdenerwowany i „pędził” każdego, kto się do niego zbliżył. Sterling nie wychodził z sali, rozkładał akta, czytał, notował, pogrążony w papierzyskach.

Do czołowej grupy obrońców należał też Stanisław Rundo, aczkolwiek praktykę miał nieznaczną. W procesach politycznych występował rzadko. Cechowały go pogoda umysłu, uprzejmość w obcowaniu z kolegami, szczerść usposobienia. Był dowcipnym, dobrym mówcą.

przywiązywał dużą wagę do poprawnego stylu. Do obron przygotowywał się zawsze z dużym nakładem pracy. Zginął w czasie okupacji z rąk hitlerowskich.

Zdolny prawnik Antoni Landau miał pogodne, równe usposobienie, podobnie jak Rundo. W obronie zwracał dużą uwagę na zagadnienia prawne. Jeśli tylko nasunęły mu się jakieś wątpliwości, starał się je wyjaśnić za pomocą prostej wykładni. Z rozbijającym uśmiechem na twarzy przystępował do obalania pozornie nieodpartych, poważnych zarzutów oskarżenia. Czynił to jakby z pewnym onieśmieleniem. Spokojnie, subtelnie analizował zarzuty, obnażał, ukazywał słabe strony, obalał i w końcu z niejakim zdumieniem prezentował sądowi bezwartościowe strzępy oskarżenia. W procesach politycznych występował dość często; był obrońcą w procesie więźniów brzeskich.

Mieczysław Rudziński często bronił w towarzystwie Duracza. Był to pracowity, sumienny obrońca. Podobnie jak Sterling, starał się wyczerpać w obronie wszystkie argumenty. W procesie więźniów brzeskich przemawiał około ośmiu godzin! Aresztowany przez Niemców, zginął w obozie w Mauthausen.

Jerzy Berland, zawsze wytwornie, elegancko ubrany, zwracał baczną uwagę na swój zewnętrzny wygląd. Podobnie traktował i oceniał swoje wystąpienia obrończe. Do sprawy przygotowywał się z zapalem, wiódł z kolegami dysputy, studiował akta, orzecznictwo, gromadził cytaty, a później starał się cały bogaty materiał zamknąć w pięknym pod względem formy przemówieniu. Był bardzo wrażliwy na punkcie oceny własnych przemówień. Lubił — jak to mówią — podobać się. Broniliśmy razem z nim Piotra Rokossowskiego, oskarżonego o zabicie żony wystrzałem z rewolweru w kasynie gry „Nirwana“ w Warszawie. W I tomie wydawnictwa pt. „Mowy sądowe“ umieszczono przemówienie Berlanda w tej właśnie sprawie. Zginął w czasie okupacji z rąk hitlerowców.

Zygmunt Grałiński, młody adwokat, działacz społeczny i polityczny, pełen energii, wystąpił po raz pierwszy w r. 1932 w większym procesie politycznym więźniów brzeskich i zabłysnął tam talentem i temperamentem obrończym.

Zginął tragicznie: utonął na Atlantyku na okręcie storpedowanym przez niemiecką łódź podwodną.

Jan Dąbrowski miał wszelkie dane intelektualne po temu, aby być doskonałym obrońcą. Wszechstronnie wykształcony, prawnik, literat,



filolog i historyk, interesował się wielu dyscyplinami. Niestety, słaba emisja głosu, zbyt wątła struktura fizyczna oraz choroba płuc utrudniały mu wystąpienia w większych procesach. W procesie więźniów brzeskich wziął jednak udział, broniąc razem z Landauem Adama Ciołkosza. Na prośbę kolegów napisał „Szopkę Adwokacką“, w której sprezentował kolegów od strony ich zalet i wad w wierszach pełnych humoru i dowcipu i pogodnego uśmiechu. Koledzy, z którymi pozostawał w bliższych stosunkach, cenili go i darzyli zaufaniem. Zginął na Pawiaku, zamordowany w bestialski sposób przez niemieckich oprawców.

Józef Wasserberger, po kilkuletniej pracy w prokuraturze w Piotrkowie, a następnie w Warszawie, przeszedł do adwokatury. Podobnie jak Dąbrowski, interesował się nie tylko zagadnieniami z dziedziny prawa. Znał dobrze kilka języków i tłumaczył prace obce; m. j. przelożył doskonałą rozprawę niemiecką o teatrze. W „Mowach sądowych“ w t. I umieszczono jego oskarżycielskie przemówienie w sprawie Rokossowskiego, którego razem z Berlandem broniłem. Pracowity, zdolny, sumienny obrońca, pozostawił po sobie miłe wspomnienie. W r. 1940 uzyskał zezwolenie na wyjazd z kraju i osiadł w Szkocji, gdzie w kilka lat później zakończył życie.

Stefan Urbanowicz i Zygmunt Nagórski nie zajmowali się praktyką karną. Pierwszy interesował się prawem administracyjnym, drugi — prawem cywilnym, które wykładał na Uniwersytecie Warszawskim. Obaj w procesie więźniów brzeskich wzięli udział, i to wcale ważki. Obrony wygłoszone przez nich stały pod względem treści i formy na wysokim poziomie. — Urbanowicz w czasie okupacji zginął na Palmirach z rąk Niemców. Nagórski wyjechał we wrześniu 1939 r. za granicę, osiadł na stałe w USA i zajmuje się tam praktyką adwokacką.

W okresie z górą dwudziestu lat śledziłem bacznie i z dużym zainteresowaniem działalność obrońcą wszystkich tych kolegów, którym wspomnienia poświęcam. Broniełem często razem z nimi w różnych sprawach, nieraz stawaliśmy po przeciwnych stronach. Koledzy walczyli z wielkim nakładem pracy, temperamentem, starali się przeprowadzić własną tezę, lecz w ogniu walk nie dochodziło nigdy do osobistych napaści, wymyślań, zadrażnień. Krótkie spięcia na tle różnicy poglądów należały do odosobnionych, rzadkich zjawisk. Koledzy pamiętali o wzajemnym szacunku, godności zawodu, powadze roli obrońcy i szacunku dla sądu. Z długoletniego obcowania z kolegami wyniosłem jak najbardziej podniosłe wrażenia i serdecznością przepojone wspomnienia.

W okresie po zamachu majowym czołowi obrońcy warszawscy stanowili zwartą, bojową grupę adwokatury. Walczyli z przemocą i bezprawiem, stawali w obronie prawa i godności obywatela, torowali drogę sprawiedliwości i w walce tej byli naprawdę niezmordowani! Eugeniusz Śmiarowski, ciężko chory na serce, nie rozstawał się z nitrogliceryną w czasie procesu więźniów brzeskich i korzystał z niej w toku procesu, a mimo to walczył niezmordowanie i bronił. Podobnie Kazimierz Sterling, choć chory na serce, nie opuszczał sali sądowej. Tak samo Jan Dąbrowski i Jan Nowodworski. A przy tym pamiętać należy, że adwokaci występujący w procesach politycznych pracowali bezinteresownie. Byli oni przedstawicielami wzniosłych i zaszczytnych wskazań, jakie powinny ożywiać adwokaturę.

W roku 1937 Akademia Literatury przyznała złoty wawrzyn akademicki za krasomówstwo sądowe Paschalskiemu i Szurlejowi. W r. 1938 odznaczenie powyższe otrzymali Berenson, Niedzielski, Mieczysław Ettinger i ówczesny prokurator Kazimierz Rudnicki. Otrzymałem i ja to odznaczenie. Śmiarowski i Sterling zmarli na kilka lat przed powstaniem Akademii Literatury.

A teraz przenieśmy się na chwilę myślą do pałacu Badenich na placu Krasińskich, siedziby Sądu Apelacyjnego. Na pierwszym piętrze w bufecie zastaniemy prawie wszystkich kolegów, o których tu piszę. Piją czarną kawę, palą papierosy, gwarzą. Padają dowcipy, rodzą się anegdoty, strzelają kalambury, raz za razem zrywa się huragan śmiechu.

Bufet w Sądzie Apelacyjnym był znaną kuźnią dowcipów i anegdot, które stąd wędrowały po kuluarach sądowych i docierały do adwokatów, sędziów, prokuratorów. W „Czerwonym Kurierze“ Jan Drobniowski, młody adwokat (zginął w kampanii wrześniowej), umieścił zdjęcie licznej grupy kolegów w bufecie. Starsi siedzą przy stole, a pod ścianą i z boku stoją młodszy i przysłuchują się rozmowom. Bufet był zresztą nie tylko kuźnią dowcipów. Tu toczyły się gorące debaty na temat spraw, zagadnień prawnych, tu poddawano krytyce obrony wygłaszane przez kolegów, podnoszono zalety, podkreślano usterki, błędy i niedociągnięcia.

Omali codziennymi gośćmi byli tu Śmiarowski, Szumański, Berenson, Jan Nowodworski, Niedzielski i Sterling, Duracz, Jan Dąbrowski i Mieczysław Ettinger, Szurlej, Jarosz, Rundo i Brokman, Leon Okręt i Gustaw Beylin. A czasem zaglądali też Gustaw Belmont, adwokat, dziennikarz i poeta, oraz Cezary Jellenta, literat, krytyk i adwokat. Beylin napisał sztukę teatralną pt. „Kobieta bez przeszłości“. Ponieważ

miał bardzo skąpą praktykę, Berenson nazywał go „adwokatem bez przyszłości“.

Zjawiali się tu i koledzy cywiliści. Stanisław Goldstein, Rymowicz, b. wiceminister sprawiedliwości, członek komisji kodyfikacyjnej, dwaj bratankowie Goldsteina Mieczysław i Nikodem (obaj adwokaci), Jan Jakub Przeworski, Czesław Białaszewicz, Waclaw Minkiewicz, Zygmunt Sokołowski, Bronisław Koral, Natan Grodziński, Ignacy Baumberg.

Sędziowie do bufetu nie zachodzili, częściej natomiast pokazywali się prokuratorzy: Mieczysław Wóycicki, Seweryn Walfisz, Karol Łepkowski. Byli to doświadczeni, inteligentni i kulturalni ludzie, których wspominam z całą serdecznością.

Duże ożywienie wnosili Okręt i Berenson. Okręt długie lata spędził w Paryżu jako adwokat. Dobry mówca, świetne pióro literackie. Praktykę miał skromną. Pisał sprawozdania z rozpraw sądowych, ogłosił drukiem dwa tomy. Były to właściwie impresje z rozpraw pisane z wielkim kunsztem. Ktoś powiedział, że stoją one wyżej od niejednej dobrej obrony. I miał rację. Mówiono o Okręcie, że jego przywary były raczej zaletami, tak jak zalety wydawać się mogły przywarami.

Gdy obok Berensona i Okręta usiadł Szurlej, Niedzielski lub Sterling, zaczynało być wesoło, temperatura nastroju rosła. W tej atmosferze zrodził się właśnie pomysł stworzenia szopki adwokackiej, czegoś w rodzaju „Zielonego Balonika“. Zadania podjął się Dąbrowski; nie pomnę, kto dostarczył karykatur. Wątpię, by gdzieś zachował się choć jeden egzemplarz tej książki.

Pałac Badenich w r. 1939 legł w gruzach, wszyscy koledzy z bardzo nielicznymi wyjątkami odeszli na zawsze.

Kiedyś w pogodne popołudnie zatrzymałem się u wejścia na dziedzińiec pałacu Paca, dawnej siedziby Sądu Okręgowego w Warszawie. Stałem wpatrzony w oświetlony słońcem pusty kamienny chodnik, prowadzący z gmachu na Miodową. Nagle zaroilo się w mej wyobraźni od jakże dobrze mi znanych postaci kolegów, sędziów, prokuratorów, którzy przez długie lata podążali tędy do sądu. Dokoła panowała cisza, stałem pod przemożnym wrażeniem wspomnień. Nagle wpadły w nią słowa wypowiedziane zmęczonym, matowym głosem:

— A kogo tu pan mecenas szuka?

Spojrzałem poza siebie. Za mną stał pochylony, o bladej, pooranej bruzdami twarzy, wsparty na lasce, dobrze mi znany b. sędzia sądu apelacyjnego Rybiński. Uścisnąłem serdecznie jego dłoń i odrzekłem:

— Panie sędzio, szukam tych, którzy od nas bezpowrotnie odeszli...

(koniec)